

RADOŚLAW LEWANDOWSKI

YGGDRASIL

Exodus



RW2010

RADEK LEWANDOWSKI

EXODUS

tom drugi sagi

YGGDRASIL

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2014

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta: Maciej Śłużyński

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Radek Lewandowski 2014

Okładka Copyright © Dalia Żmuda-Trzebiatowska

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2014

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-099-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Patronat medialny:



Minął *eftrimiðdagur* i słońce już dawno przekroczyło swój najwyższy punkt na nieboskłonie, ciągnięte przez niestrudzone rumaki: Arvaka i Alsvidha, a wydawało się, że rzeź trwała ledwie kilka godzin. Siedziałem oparty o skalną ścianę, nie zważając na to, że mokra od potu i krwi koszula robi się coraz zimniejsza i odbiera resztki ciepła zmaltretowanym plecom. Myśli, o ile jakieś pojawiały się w mojej głowie, szybko z niej pierzchały wypierane słowami: „Sami! Jesteśmy sami!”.

Byłem poobijany, otępiały i śmierć przyjąłbym teraz z uśmiechem. Los każdego z nas jest znany i koniec żywota również. Taki jest *forlog* – przeznaczenie człowieka.

Bogowie mieli jednak wobec mnie inne plany, przeżyłem, a śmierć spotkała w tej okrutnej krainie wszystkich, którzy przybyli wraz ze mną do obcego świata zimy i lodu, w którym żyły bestie wyglądające jak ludzie i ludzie o wyglądzie bestii. Prawie wszystkich...

Nie wiem, jak długo trwało to odrętwienie. Otrząsnąłem się, gdy jakiś zabłąkany podmuch wiatru wpadł do jaskini, budząc w jej czeluściach upiornie wyjące echa. Powinienem poszukać żywych i pogrzebać tych, którym nie udało się przetrwać – ta prosta myśl wypłynęła na wierzch niczym wielorybia tusza na powierzchnię morza i jak ona była martwa. Próbowałem wstać, ale moje nogi ciążyły kamieniem. Czuję się jak starzec i tak pewnie musiałem wyglądać dla bogów obserwujących wszystko z góry. Wmawiałem sobie, że nie mam do nich żalu – przecież dali i zabrali co swoje – ale gdzieś tam w głębi narastała we mnie dzika i pierwotna wściekłość. Zdusiłem ją z trudem.

Wśród moich rodaków, na ojczystej skandynawskiej ziemi, zabijano nieprzydatnych i słabych starych ludzi. Nie było to wymagającym pomsty mordem, o ile uzyskano na ten czyn zgodę na thingu. Śmierć zadawał syn, zrzucając rodziciela z fiordu lub rozłupując mu czerep Maczugą Śmierci. To był dobry i szybki koniec, ale zdarzało się, że wypędzano starców na mróz, by zginęli z głodu i chłodu, co urągało synowskim obowiązkom. Tak było od zawsze – silne zielone pędy zastępują stare, usychają-

ce, nakrywając je własnym baldachimem liści i odbierając resztki słonecznego światła. Staliśmy się niepotrzebni tu, w tym obcym świecie, więc należał nam się miecz, ale dzieci szkoda...

Oparłem rękę o kamienną posadzkę i poczułem lepką posokę przywierającą do palców. Odruchowo strząsnąłem ją z dłoni, ale choć ciemne krople rozprysnęły się na wszystkie strony, długo jeszcze tarłem ręką o skórzany kaftan, jakbym chciał usunąć najmniejszy krwawy ślad. Nie była to moja własna jucha, ale brzdąca, którego pokiereszowany zezwłok leżał nieopodal. Warkot dzikiej bestii wypełnił jaskinię chrapliwym dźwiękiem i minęła dobra chwila, nim zrozumiałem, że ten przerażający i jękliwy głos wydobywa się z mojego gardła.

Ostatnie miesiące spędzone w zimnej, wyklętej przez bogów krainie były ciężkie, ale na końcu tego znoju miał na nas czekać nowy dom, mieliśmy cel. A teraz? Rozejrzałem się po skalnej komnacie, pełnej ciał i zapachu świeżej krwi. Orm, jedyny z moich skandynawskich przyjaciół, który przeżył, wyszedł właśnie na zewnątrz, mrużąc gniewnie coś pod nosem, ale nie udało mi się zrozumieć czemu, a raczej komu tak złorzeczył. Zresztą czy to ważne? Czy cokolwiek teraz było ważne, czy istniał jakiś powód, bym podniósł poobijaną dupę z zimnych i lepkich kamieni?

Nagle poczułem na sobie czyjeś spojrzenie. Nie wiem, jak to się dzieje, ale zawsze, gdy ktoś dłużej mi się przygląda – i nie ma znaczenia, czy to mąż, czy niewiasta – mrówki rozpoczynają wędrówkę po moim karku. Odwróciłem głowę w stronę ciemnej części jaskini, ale zrobiłem to zbyt wolno. Zmęczenie ostatnich dni dało o sobie znać. Już w trakcie ruchu wiedziałem, że nie zdążę. Jakaś szara plama niemal bezszelestnie oderwała się od ściany. Wyczułem na twarzy delikatny napór powietrza, poprzedzający ostrze celujące w szyję – trafiło w moje ramię, rozdzierając nadszarpniętą w tym miejscu kolczugę. Odrętwienie rozchodzące się od barku do dłoni zamieniło się w spazm bólu, gdy napastnik szarpnął się do tyłu i jednym płynnym ruchem uwolnił kamienny nóż, szykując się do kolejnego ciosu.

Siedziałem w kręgu mdłego światła wpadającego przez otwór wejściowy i teraz zobaczyłem swojego przeciwnika. To był jeden z dzikich ludzi-bestii, z którymi walczyliśmy przez ostatnie dwa krwawe wschody słońca. Nie wiem, jak mu się udało przetrwać szarżę przybocznych Noah, olbrzymich wojów ze Starej Rasy, którzy na widok śmiertelnych ran swojej przywódczyni wpadli w berserk i gołymi rękami rozrywali napastników niczym głodny chłop pszeny podpłomyk. Musiał ukryć się w jakiejś wnęce, czekając sposobności do pomsty. I znalazł, pomyślałem kwaśno, patrząc w brązowe wściekłe oczy, które wyraźnie odcinały się od pomalowanej na biało twarzy.

Myśli miałem dziwnie spokojne, jakby należały do obserwatora stojącego gdzieś z boku, ale ciało żyło własnym życiem i nie chciało umierać. Świat zwolnił swój bieg. Bogowie obdarowali mnie mocą błyskawicznego leczenia własnych ran, ponadludzką siłą i szybkością. Nie zawsze tak było, ale od pewnego czasu czułem się niby posiadacz podwajającego tężyznę Megingardira, magicznego pasa samego Thora.

Rękę z nożem złapałem tuż przed tym, nim kamienne ostrze zanurzyło się w moim lewym oku. Na twarzy dzikiego pojawiło się zaskoczenie, gdy zamknąłem w uścisku najpierw jeden, potem drugi drobny nadgarstek. Próbował się szarpać, ale równie dobrze wojownik mógłby spróbować zagiąć gołymi rękami głównię miecza. Jedno trzeba mu przyznać: był szybki niczym kuna. W jednej chwili patrzył mi w oczy ze zdziwieniem, a w następnej zatapiał zęby w dłoni. Usłyszałem chrzęst miażdżonej kości. Syknąłem z bólu, a on przyciągnął bosa stopy do siebie i uderzył mnie piętami w tors z taką siłą, że na chwilę odebrało mi oddech. Nie rozluźniłem jednak uchwytu, zamiast tego cisnąłem nieszczęśnikiem o ścianę jaskini. Uderzył w nią z głośnym stukotem czaszki, która napotkała na swojej drodze kamienną przeszkodę. Stał jeszcze przez chwilę, jakby ciało nie mogło się pogodzić z porażką, by osunąć się w końcu bez czucia na zimne skały. Z rozwartych bezwładnie ust wypadł mu kawałek palca, mojego palca.

Pomyślałem, że pewnie wyzionął ducha, ale gdy podszedłem bliżej, usłyszałem urywany oddech swego niedoszłego zabójcy. Związałem go niby prosiaka na targ, choć z zakrwawioną ręką nie było to prostym zadaniem, i wróciłem do ognia. Teraz w jego świetle obejrzałem nową ranę. Krew przestała płynąć, więcej, zdawało się, iż w miejscu ugryzienia zmienia się w żywą pianę, z której zaczął wyrastać brakujący fragment dłoni. Czym się stawałem?

– Odynie, Panie mój, co się ze mną dzieje?

Ostatnie słowa powiedziałem głośno, ale nie było żadnych uszu w pobliżu, nie doczekałem się też boskiej reakcji. Jeszcze raz spojrzałem na swoją rękę. Była cała. Jestem prostym wojem, nawykłym do rozwiązywania problemów zimnym ostrzem, a w tym kryła się *seidir* – czarna magia, o której wiedziałem tylko tyle, że istnieje. Odsunąłem od siebie sprawy, których ludzki mózg ogarnąć nie zdoła, tak jak człowiek samą myślą nie zmieni kamienia w złoto.

Usiadłem, wracając do rozmyślań, jakby to, co zdarzyło się przed chwilą, było ułudą, snem, tak jak wszystko, co mnie spotkało, od potyczki z Niemymi w wiosce Lachów, po dzisiejszy poranek. Rana na ramieniu przestała krwawić. Czulem jeszcze bolesne pulsowanie w ręce, ale i to minie, bo ostrze nie przecięło drogi krwi.

Coś jednak we mnie pękło i wspomnienia zaczęły napływać coraz szerszym strumieniem. Pozwoliłem im zawładnąć myślami, aby choć na chwilę zapomnieć o tym, co jest tu i teraz – o tym, co nas spotkało *i dag*, i o tym, co nas czeka *á morgun*.

Bitwa z dzikimi była niczym pieśń śpiewana przez samego Bragiego, syna Ody-na. Najpierw drobne potyczki dla zaciekawienia braci siedzącej przy ogniu, dla wciągnięcia ich w opowieść. Potem werbel wojennych bębnow i pierwsza fala atakująca dolinę. Jezioro czerwonej juchy, sterty odciętych członków i głów, i my, zmęczeni, ale upojeni zwycięstwem. Druga fala uderzyła w nasze osłabione pozycje zaraz po-

tem i to była muzyka grana na lutni, dźwięczna, mocna, czasem szybka, innym razem zawodząca, ale w miarę pęknięcia kolejnych strun coraz bardziej szarpana i cicha.

Przed tą ostatnią bitwą sprawy wyglądały inaczej, miałem do kogo głowę otworzyć, była przy mnie czwórka skandynawskich druhów i kilkudziesięciu lackich chłopów wraz z niewiastami i dziećmi, których tak jak mnie bogowie wystawili na próbę, zsyłając do kraju lodu. Jeszcze słyszałem radosne dziecięce szczebiotanie, ale teraz... Została nas zaledwie garstka. Tu, na górze, poza mną przeżył Orm Frodisson i sześciu ludzi Starej Rasy, włochatych olbrzymów, rdzennych mieszkańców tej ziemi, w tym Wierzba z nowo narodzonym oseskiem przy piersi. Z wieśniaków, z którymi tu przybyliśmy, nie przetrwał nikt, chyba że komuś udało się ukryć w chaszczach gęsto porastających dno doliny, co było tak prawdopodobne jak to, że fasola obrodzi dwukrotnie w ciągu roku, i do tego jeszcze bobem.

Nagle cichy szmer wyostrzył moje zmysły i kazał myślowi powrócić do dnia dzisiejszego. Niewolnik, mój niedoszły oprawca, stęknął cicho, lecz zaraz znowu zapadł w studnię snów i leżał pod ścianą, nie dając znaku życia, ale dychał i to było najważniejsze. Potrzebowałem go, a raczej tego, co może mi powiedzieć, o ile w ogóle umiał mówić.

Pamiętałem siebie sprzed kilku miesięcy, które teraz wydawały mi się całym życiem – dumny najmłodszy syn konunga szwedzkiego, Eryka Zwycięskiego, i Sygrydy Storrady, córki konunga lackiego, Mieszka I. Musiałem opuścić rodzinną ziemię, uciekając przed knowaniami mojego brata Olofa, który obawiał się, że miast niego sięgnę po królewski pas. Ratowałem skórę, ale świat stał przede mną otworem, wszystko było proste, a do stracenia miałem tylko *fjor*, własne życie. Byłem niczym olbrzym zdolny podtrzymać jedną ręką niebo, w drugiej dzierząc dzban z piwem.

Próbowałem splunąć ze złością, ale w suchych, spękanych ustach zabrakło śliny. Przypominały jałową pustynię pełną piasku i gliny.

Niespełna rok temu rudobrody Thor – imię to oznaczało w naszym języku szaleńca, choć od małżeństwa z dobrą Sif bardzo się zmienił – rzucił naszej piątce wyzwanie godne wielkiej sagi, zsyłając do samego Grinnungagapu. A może to dzielny Tyr, chcąc sprawdzić nasze męstwo, postanowił poddać nas próbie? Albo maczał w tym palce ojciec kłamstwa i złości – Loki? Teraz to nie miało już znaczenia, choć widząc, co się z nami później stało, ten ostatni przychodził mi na myśl coraz częściej.

Moje przygody napełniłyby niejedną sagę słodkim miodem rozgrzewającym krew i wyobraźnię spragnionych sławy synów skandynawskiej ziemi. O naszych losach bardowie mogliby śpiewać pieśni, zabawiając jednako gawieź i władców. Przy płonącym ogniu, z rogiem pianistego napitku w ręku, opowieści te nabrałyby barw i kształtów, a niejeden młodzik chciałby się znaleźć na naszym miejscu, dla chwały i wiecznego żywota u stołu Odyna.

Głupcy i marzyciele, ale sam kiedyś taki byłem.

Wieszczka Skuld, słuchająca tego, co ma dopiero nadejść, wiedziała, jaki los nas tu czeka, my nie.

W jednej chwili byliśmy na ziemiach Piastów i łapaliśmy oddech po zwycięskiej potyczce z Niemymi, by zaraz potem, z wyroku samego Thora, jak wówczas mniemałem, wraz z całą wsią znaleźć się na tym zimnym i – jak sądziliśmy – pozbawionym ludzi pustkowiu. Bratem był nam głód, a siostrą śmierć w mroźnym oddechu lodowych olbrzymów.

Przypomniałem sobie swoje zdziwienie, gdy po wyjściu z chaty naczelnika wsi – zamiast zaśnieżonego i gęstego boru otaczającego zabudowania – ujrzałem nagie, smagane wiatrem pola; jedyną roślinnością w zasięgu wzroku było kilka drzew rosnących w pobliżu osady, które bogowie przenieśli razem z nami. Wszyscy mieszkańcy wylegli, by zobaczyć, co się stało, i wszyscyśmy stali z rozdziawionymi gębami, nie mogąc zrozumieć tego, co widziały nasze oczy.

Teren dookoła wioski był równiutko ucięty, jakby ktoś czubkiem miecza zatoczył ogromny krąg, poza którym znajdował się obcy świat. W powietrzu czuło się *seidir* i moc błyskawic, niczym na fiordach w czas burzy.

Cofnąłem się myślami w *tími* jeszcze dalej...

W siłowym sarkofagu leżało nagie ciało osobnika w średnim wieku, o bladej, lekko przezroczystej skórze i krótko przystrzyżonych, białych jak śnieg włosach. Budową przypominał raczej chłopca niż mężczyznę, co świadczyło o długotrwałym poddawaniu organizmu przyciąganiu o wartościach nieprzekraczających ośmiu dziesiątych przyciągania ziemskiego, czyli takich, jakie panowały na niemal wszystkich okrętach Floty ludzkiego dominium.

Hez Tolov, kapitan Autonomicznego Statku Dowodzenia, zwanego potocznie AS-em – supernowoczesnego, eksperymentalnego okrętu Floty, zdolnego, o ile wierzyć konstruktorom, do przebicia błony rozdzielającej wszechświaty – przebywał w wirtualu, przeżywając po raz nie wiadomo który przygody temporalnych podróży. Mógł wcielić się w dowolną postać, ale najczęściej wybierał Eryka Eryksona, wodza drużyny wikingów. Można powiedzieć, że stał się swego rodzaju ekspertem od życia i obyczajów tych barbarzyńców – to do tego stopnia, iż by poczuć klimat oraz barwę tamtych wydarzeń, przyswoił sobie język staronordycki, którym władał płynnie bez aktywowania implantów lingwistycznych, pewnie jako jedyny współczesny człowiek. Przez lata stał się w nim tak biegły, iż jego mózg, niejako samoczynnie, tłumaczył archaiczne wyrażenia i zwroty na univela.

To działało w obie strony i niedawno, podczas bankietu w admiralicji, na rzuczone z przekąsem pytanie szefa połączonych sztabów, kiedy w końcu łaskawie uzna, że AS jest już gotowy do testów w otwartej przestrzeni, odpowiedział: „za *ársfjórðungur*, może szybciej, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem”, wywołując tym zdi-

wienie słuchacza i skrywane uśmiechy kolegów. Stary na szczęście ich nie zauważył, bo mogłoby się to źle skończyć dla wesółków. Hez znajdował się poza jego zasięgiem. Jako jedyny wśród wyższych oficerów obecnych na bankiecie podlegał bezpośrednio premierowi Federacji. Wypełniając jakąś supertajną misję zleconą przez samego Prana Feya, był nietykalny, więc każdy sztabowiec od komandora porucznika wzwyż traktował go niczym okręt w niekontrolowanym kolapsie – im dalej od takiego, tym bezpieczniej.

Historię przypadkowej podróży w czasie Słowian, wspieranych przez drużynę Normanów z Erykiem Eryksonem na czele, znały decyliony istnień w całej galaktyce. Czerpały z niej pełnymi garściami korporacje medialne, przygotowując liczące tysiące odcinków superprodukcje. Smaczku dodawał fakt, iż scenariusz napisało samo życie, a skutki... No cóż, nie ma i nigdy nie było odpowiedniej skali porównawczej, by w pełni oddać rozmiar konsekwencji tamtych zdarzeń.

Naukowcy z trzydziestego stulecia przypadkiem odkryli anomalię w ciągłości kontinuum czasowego, będącą efektem pojawienia się w Układzie Słonecznym, na milionowe części sekundy, ciała niebieskiego potocznie zwanego „czarną dziurą”. Mówiąc bardziej obrazowo, dziesięciowieczna słowiańska wieś wraz z mieszkańcami została rozbita na hadrony, a konkretnie bariony o spinie połówkowym, i odtworzona w niezmiennym stanie w okresie ziemskiego górnego paleolitu, czyli wiele tysięcy lat wcześniej. Trafili w rejon cofającego się lodowca, do świata, w którym żyły mamuty, nosorożce włochate, smilodony, niedźwiedzie jaskiniowe i dwie zwalczające się rasy ludzkie: *homo sapiens sapiens* i schyłkowa *homo sapiens neanderthalensis*.

Zespół profesora Noela z korporacji Nova wysłał w przeszłość, w dziesiąte stulecie naszej ery, czyli w okres poprzedzający tę niezwykłą podróż w czasie, nanojednostkę wielkości atomu. Na więcej nie pozwalał ówczesny stan wiedzy, zresztą i współcześnie niewiele się w tej materii zmieniło. Nano, po intensywnym procesie replikacji w ciele jednego z wieśniaków, miała stworzyć autonomiczną sztuczną inte-

ligencję i dostarczyć potomnym relację z przebiegu tego naturalnego, unikatowego zjawiska.

Rezultaty eksperymentu zaskoczyły wszystkich. Na skutek ingerencji nastąpiło rozwarstwienie rzeczywistości i powstał równoległy świat, którego władcami byli potomkowie neandertalczyków. W trzydziestym stuleciu naszej ery doszło do kontaktu i ludzkość przekonała się, że „kuzyni” znacznie wyprzedzają ją pod względem rozwoju psychotechnologicznego. Zderzenie z rzeczywistością było bolesne, bo tym samym społeczeństwo wywodzące się z gałęzi *sapiens sapiens* przestało być najdoskonalszym dziełem ziemskiej ewolucji. Nie obyło się oczywiście bez fal protestów, które rozlały się na wszystkie planety ludzkiego dominium, ale umarły śmiercią naturalną, gdy rozeszła się wieść, iż rasy rozumne w naszej galaktyce, i to bez względu na płaszczyznę rzeczywistości, w której egzystują, skazane są na zagładę. Jak mawia stare powiedzenie: gdy boli cię palec, włóż drugą rękę w ogień, a ból zniknie niczym dym na wietrze.

Z głębi kosmosu, od strony Macierzy Wszechświatów, nadciągała fala zniszczenia, rozbijająca w pył starą materię. Właśnie z tego powodu potomkowie neandertalczyków nawiązali kontakt z ludźmi. Szukali sojuszników w wyścigu o życie.

Relacja z osunięcia się dziesięciowiecznej wioski o tysiące lat w przeszłość Ziemi – a raczej przekaz zarejestrowany przez wikinga Eryka Eryksa, który stał się przypadkowym nosicielem SI wysłanej przez zespół profesora Noela – została sformatowana do poziomu zrozumiałego dla współczesnego człowieka. Język i wiele niezrozumiałych wyrażen zastąpiono odpowiednikami w univelu, zachowując jednak klimat i ducha tej niecodziennej opowieści. Korporacyjna Sztuczna Inteligencja wykonała kawał solidnej roboty. W kolejnych latach stworzono setki, jeśli nie tysiące komercyjnych wariacji na ten temat, ale Hez wracał tylko do oryginału, a właściwie do pierwszej translacji.

Miał jeszcze przed sobą godzinny relaks, nim SI okrętu postawi go na nogi. Ta godzina mogła oznaczać dni i tygodnie przygód w odległym paleolicie. Jedyne ograniczenie stanowiła tu przepustowość mikroportów i ilość wolnego miejsca w osobistej pamięci operacyjnej. Było to jedno z wielu dobrodziejstw, wynikających z intensywnej współpracy naukowej współczesnych ludzi z Braćmi, czyli potomkami neandertalczyków.

Hez otworzył szerzej kanały synaptyczne, pozwalając po raz kolejny unieść się historii. Znowu był Erykiem, z którym pomimo dzielących ich tysiącleci czuł dziwną braterską więź. Ten dzielny młody wódz zmienił świat – co tam świat, cały wszechświat! – jedynie z garstką przyjaciół i prymitywnym mieczem w ręku, a Hez Tolov musiał ten świat uratować, dysponując w skali kosmicznej niewiele większym potencjałem.

Zanurzył się w wirtualu niczym nurek w zimnej toni. Lekkie mdłości i uczucie dezorientacji towarzyszące transferowi jaźni niemal natychmiast ustąpiły miejsca smutkowi i poczuciu beznadziei, które opanowały umysł młodego wojownika niczym poranna mgła bagna. Hez niemal czuł, jak węzły mięśni robią się pod skórą większe i twardsze, a kości grubsze i mocniejsze. Pomimo skrajnego zmęczenia biologiczna maszyna bojowa, w którą się przeistoczył, była gotowa do natychmiastowej akcji. Nanoorganizmy, którymi trzydziestowieczni naukowcy w ramach projektu badawczego – o znamiennej nazwie Pandora – zainfekowali to ciało, mogły chłonąć energię zderzających się cząsteczek gazów czy chociażby asymilować pozostałości po wylądowaniach atmosferycznych, oddając nadwyżkę nosicielowi. Hez został odcięty od bodźców z realu, nie myślał już o czekających go testach nowego napędu Higgsa, który był ostatnią deską ratunku dla ginącej ludzkości. Stał się wikingiem.

Ciało Eryka drgnęło i mężczyzna wiedziony jakimś pierwotnym, oddalonym od świadomości impulsem zaczął się podnosić. Potężne mięśnie zagrały pod skórą, ale zaraz wiking osunął się bezwładnie i tylko wielki głaz za plecami uchronił go przed upadkiem.

Wojownik pogrążony był we wspomnieniach tak głęboko, że gdyby atak dzikiego nastąpił w tym momencie, zakończyłby się powodzeniem. Ostatni z prawdziwych ludzi – jeśli nie liczyć Orma – którego bogowie zepchnęli w objęcia Hel, siostry wilczego Fenrira i córki zdradzieckiego Lokiego, uciekając przed dniem dzisiejszym, sięgnął do początków tej śmiertelnej przygody. Ale czy życie jest czymś więcej niż dążeniem do śmierci? Czy droga ta, raz kręta i mozolna, innym razem prosta i krótka, nie wiedzie zawsze do jednego celu?

Po raz kolejny przepłynęły mu przed oczami ostatnie miesiące i jak zawsze zastanawiał się, co poszło nie tak. Czy mogli uniknąć takiego losu, pójść inną ścieżką? Może gdyby wcześniej znał przyszłość i skutki własnych czynów oraz następstwa działań swoich kompanów...? Ale równie dobrze mógłby chcieć przenikać przez skałę czy pić za życia u stołu Odyna.

Pomimo ogarniającej go beznadziei, a może właśnie dzięki niej, wszystko wróciło i to ze zdwojoną siłą. Czuł się niby bard, opowiadający przy trzaskającym ogniu historię swego życia, albo ojciec, który siedząc wraz z synem przed domostwem, snuje przed młodzikiem opowieść, ku pamięci i przestrodze.

Było nas pięciu krzepkich swjonów, poddanych konunga szwedzkiego Eryka Zwycięskiego, którzy by napęłnić mieszki złotem, najęli się wraz z resztą oddziału na służbę do kniazia lackiego Mścislawa. W oczekiwaniu na koniec zimy, która zwyczajowo była okresem gromadzenia tłuszczu pod skórą, a nie wojaczki, przyjęliśmy ofer-

tę ochrony konwoju, złożoną przez miejscowego kupca zwanego przez krajan Głowaczem. Wraz z nim wyruszyliśmy w drogę ku wybrzeżu, by kupić trochę przedniego oręża, którym handlowali kapitanowie zamorskich landskipów.

To były dobre, szczęśliwe chwile, i to pomimo srogiej zimy, która trzymała mocno w garści słowiańską domenę. Czasy były niespokojne, bowiem tu i ówdzie chodziły słuchy o gromadzeniu się zbrojnych i to po obu stronach granicy. Władyka niemiecki Magnis Sedov przymierzał się ponoć do ataku na Słowian, chcąc krzewić wśród nich wiarę w prawdziwego Boga, nie zważając na fakt, że ten już jakiś czas temu zawitał pod lackie strzechy. Książ Mścisław nie był w ciemną bitą i planował uprzedzić sąsiada. Ot, przygraniczne swary, które zawsze dawały chleb takim najemnikom jak my.

W każdym razie nasza piątka – to jest: Sven Aunsson; Björn Niedźwiedź, syn Ruryka; Harald Dallaksson; Orm Młot, syn Frodiego; i ja Eryk Erykson, najmłodszy syn Eryka Zwycięskiego, konunga szwedzkiego, i Sygrydy Storrady, zwanej tutaj Świętosławą, córki konunga Mieszka I, siostry Bolesława, którego Słowianie zważyli Chrobrym – trafiła do wsi leżącej niedaleko potężnej Vistuli, toczącej niedbale swoje wody, teraz nakryte grubą płytą lodu, przez równinne zalesione tereny Estlandii.

Bogowie nie cierpią gnuśności u ludzi, co innego wśród swoich, więc rzucili nasz niewielki oddział, wraz z eskortowanym przez nas kupcem, w środek walki toczzonej pomiędzy miejscowymi chłopami a Niemymi, którzy właśnie z mieczem i toporem w ręku składali „sąsiedzka wizytę”. Jakby tego było mało, po zwycięskiej potyczce Thor, albo sam Odyn, pokazał swoje niezadowolenie i przeniósł całą wieś – ludzi, dobytek, bydła, zabudowania, nawet wioskowe kundle – do innego świata, w którym czekały na nas lód, śnieg i jak się okazało: śmierć. Nie wiem do dzisiaj, czy to była kara za pozostawienie wrogów przy życiu, czy też zwykła igraszka bogów, w każdym razie tego dnia po raz ostatni czułem swojski, znajomy zapach gęstego boru i żyznej czarnej ziemi.

Pogrążony w głębokiej zadumie, niby we śnie, Eryk westchnął ciężko na wspomnienie zimowej tułaczki, która zabrała wielu słabszych towarzyszy. Nie wszystko było jednak złe. Na mgnienie oka przez jego twarz przebiegł uśmiech, gdy w wizjach pojawiła się Jagna, córka naczelnika wioski Sławoja. Jednak ta chwila przeminęła równie szybko jak iskra lądująca w śniegu. Myśli wikinga porzuciły dziewczę, bo było to miłe sercu, ale bolesne wspomnienie.

Po wielu przygodach znaleźliśmy Dolinę. Słowo to pachnie jeszcze teraz w mojej głowie domem, dymem z wędzarni i nadzieją. Miejsce było dogodne do obrony, w połowie przegrodzone potężną, wypływającą spod skał rzeką, z wąskim na kilku ludzi przesmykiem z drugiej strony.

Wszystkim zdawało się, że bogowie w końcu odpuścili sobie zabawę w to, kto z nas przeżyje, a kto umrze z zimna, w paszczy bestii z koszmarów czy zabity przez ludożerców. Tak powstała osada, której moi druhowie nadali nazwę Skaldborg, oznaczającą w mowie ludu północy „mur tarcz”. Wreszcie mogliśmy spać spokojnie, bez broni w zasięgu ręki. Znowu rozbrzmiewał śmiech pacholąt, niewiastom zaczęły rosnąć brzuchy – mimo tego, że ich mężowie od świtu do zmierzchu pracowali niemal nad ludzkie siły, by zdążyć do kolejnej zimy z budową drewnianych chat. Nikt się nie skarżył. To były dobre dni.

Ale i tu dopadł nas pokrętny los. Nie byliśmy jedynymi mieszkańcami w Grinungagapie, bo to musi być ta okrutna pierwotna kraina, w której toczy swe boje ogień ze świata Muspellheim i lód ze świata Niflheim, dając początek życiu. Ja i moi kompani wdaliśmy się, zresztą całkiem przypadkowo, w wojnę toczoną na tych ziemiach pomiędzy ludem Starej Rasy – potężnym niegdyś, ale obecnie nielicznym i szukającym ocalenia na mroźnych pustkowiach – a małymi i zawziętymi dzikusami, nowymi panami tego świata. Ci ostatni przekroczyli góry, porwali Jagnę, lacką dziewczkę miłą memu sercu, i zaatakowali osadę. Choć uzbrojeni jedynie w krzemien-

ne ostrza i toporne kamienne młoty, zalali nas, przybyszów z innego świata, swoją masą i przetrwaliśmy tylko dzięki pomocy pobratymców Wierzby, jednej z pierwszych kobiet Starej Rasy, które dane mi było spotkać w tej krainie, o ile przetrwaniem można nazwać przeżycie jedynie dwóch wikingów z całej kilkudziesięcioosobowej społeczności.

Mężczyźni tego prastarego ludu byli potężni, przewyższali siłą najlepszych z ludzi północy. Ich długie, muskularne ręce mogły złamać człowieka na pół niczym suchą gałąź. Gęste, krótkie jasne włosy, porastały prawie całe ich ciała, a srogi i chmurny wygląd nadawały twarzy wystające łuki brwiowe. Broń i narzędzia robili z kości zwierząt i twardych skalnych odłamków, ale po co komu żelazo, skoro gołą ręką jest w stanie pokonać wroga zakutego od stóp do głów w metal.

Lud ten żył w niewielkich rodzinnych grupach, przemierzając ziemię w niezmiennym rytmie narodzin i śmierci od wielu *árþúsundów* i setek pokoleń. Mieli jeszcze coś, z czym nie zetknęliśmy się nigdy wcześniej – mowę bez słów. Za jej pomocą przysłali sobie na wielkie odległości nie tylko wypowiedzi, ale także oglądane obrazy, wiedzę i doświadczenia zachowując dla potomnych we wspólnej pamięci. Bogowie ziemi, skał i drzew, w których wierzyli ludzie Starej Rasy, musieli być potężni, jeśli dali stworzonym przez siebie istotom takie umiejętności. Ich wyrokiem również ja, choć na krótko, uzyskałem ten dar.

Mowa bez słów miała jednak swoją ciemną stronę. Cierpienie i śmierć jednego osobnika, przysparzały bólu całej społeczności, dlatego ci olbrzymi nie łączyli się w większe plemiona, zdolne stawić czoło młodszym rasom, napływającym z odległych terenów zwanych przez miejscowych Matką. Odległość łagodziła te objawy.

Rozmyślenia przerwało ukłucie bólu. W roztargnieniu potarłem grzbietem dłoni skórę na głowie, zrywając przy tym świeże strupy i ciepła krew zalała mi twarz.

A jednak wygraliśmy – myśl ta była niczym gorzki smak sproszkowanej wierzbowej na języku, a słowo „zwycięstwo”, które zapaliło się pod czaszką niby pochod-

nia w skalnej grocie, równie szybko zgasło, gdyż było ono iście pyrrusowe. Zapamiętałem opowieść mojego greckiego niewolnika o władcy Epiru, Pyrrusie, oraz jego wygranych nazbyt dużym kosztem bitwach.

My wykrwawiliśmy się niemal śmiertelnie, więc chwała i radość pasowały tu jak miód do łożu.

Dosyć. Otrząsnąłem się ze wspomnień, rzucając głową niczym pies chcący pozbyć się nadmiaru pcheł. Krople krwi ze świeżo otwartej rany prysły na boki, zlewając się w szarówce jaskini z rubinową czernią kamiennej posadzki.

Widok, który miałem przed oczami, mógł być snem szaleńca wtrąconego do Nastrandu. Ciała dzieci na tyle małych, że za życia nie były zdolne unieść broni ani pomagać w obronie Doliny w inny sposób, choćby donosząc strzały i strawę swoim ojcom i starszym braciom, leżały z podciętymi gardłami w głębokiej niszy, tuż poza zasięgiem mojego ramienia. Nie wszystkie jednak, niestety. Mój wzrok natrafił na truchło, które należało do najwyżej kilkumiesięcznego oseska. Złożone teraz pod dziwnym kątem, przed śmiercią musiało być zwyczajnie roztrzaskane o twardą skałę i porzucone nieopodal wejścia.

Ono musiało się urodzić już tu. Dla nich chcieliśmy przetrwać, mieli być naszą przyszłością, naszą nadzieją...

Tuż przy dzieciach leżały matki. Własnymi piersiami osłaniały latorośle przed dzikimi. Miały *modi* w sercach, ale zabrakło siły w ramieniu. Teraz leżały nieruchome, blade i zimne obok swoich pociech.

Starcy walczyli i zabrali ze sobą kilku napastników, ale przewaga tych ostatnich była zbyt wielka. Pobratymcy Wierzby przybyli za późno. Pozostała im tylko zemsta, a ta jeszcze nigdy nie przywróciła nikogo do życia, choć była miła bogom i ludziom.

Wstałem powoli, czując się niczym wiekowy mąż. Wraz z nadzieją siły wyciekały ze mnie jak woda z dziurawego rybiego pęcherza. Rana na ramieniu zadana ka-

miennym ostrzem zasklepiła się już niemal zupełnie, a po odrętwieniu pozostało jedynie rytmiczne pulsowanie.

Dosyć już miałem zapachu i widoku śmierci; wyszedłem na zewnątrz.

Orm, jedyny mój krajan, który przeżył masakrę, stał oparty o skalną ścianę i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Z rany przy uchu, a może kilku ran, krew płynęła po policzku cienkim strumieniem i skapywała z brody na kolczugę, zdobiąc metal kolejną rdzawą plamą, ale mój przyjaciel zdawał się tego nie zauważać.

Chłodne wieczorne powietrze szczypało delikatnie w twarz. Nie czułem wszakże zimna, a jedynie orzeźwienie i miękki podmuch wiatru na twarzy. Słońce ścigane przez Skolla powoli zmierzało do miejsca nocnego spoczynku. Wziąłem głęboki oddech, a ściśnięte płuca, jakby niechętnie wpuściły do środka powietrze. Życie na zewnątrz toczyło niezmiennie swe boje. Ktoś ginął, ale na jego miejsce przychodzili nowi. Zagłada nawet całego stada renów nie oznaczała wyginięcia tych szlachetnych zwierząt. Z nami było inaczej. Fala beznadziei znowu zalała moje myśli.

Po każdej zwycięskiej bitce miód smakował lepiej, zapachy były intensywniejsze, kobiety bardziej chętne, a mężczyźni skorzy do uciech, ale tym razem radość zwycięstwa miała gorzki posmak porażki. Dla kogo to wszystko, skoro – o ile nie liczyć porwanej i zniewolonej przez dzikich Jagny – została nas tylko dwójka. Spojrzałem na zgarbionego druha, który teraz bardziej przypominał poturbowany przez sztorm okręt szykujący się do pójścia na dno niżli dumny i niezwyciężony drakkar.

– Trzeba tam zejść, może kto ocalał – rzekłem, zataczając ręką półkole. Miałem wrażenie, jakby ta ręka i głos należały do kogoś innego. Orm spojrzał na mnie i bez słowa skinął głową.

Patrzyliśmy na piętrzący się u stóp skalnej ściany kamienny kurhan, gdzie spoczywały pospołu ciała obrońców i napastników, na których w ostatnich minutach walki spuściłem rzekę przygotowanych w tym celu gładów. Kurz już opadł, pokrywając wszystko rdzawoszarą kałużą i z wyjątkiem zostawionych przez osuwające

się kamienie świeżych szram na zboczu nie widać było śladów niedawnej krwawej potyczki.

– Po co to wszystko, Eryku? Dla kogo przez tyle miesięcy wypruwaliśmy sobie flaki, dla kogo marzliśmy na tych lodowych pustkowiach nie mając często co do miski włożyć, żrąc wilcze żylaste truchło? Dla trupów? – Mój druh zastygł niczym posąg, a głos wydobywał się spomiędzy jego zaciśniętych warg niby z samego wnętrza Ormiej istoty.

Chciałem mu powiedzieć, że dla siebie samych, dla tych kilku ostatnich radosnych miesięcy, podczas których w wiosce, poza stukaniem narzędzi, słychać było śmiech, ale wzruszyłem ramionami. Równie dobrze mógł zapytać, dlaczego słońce nie spada na ziemię, tylko gna po naszym niebie, albo czemu dzień w dzień dzielna para koni, Alsvidh i Arvak, ciągnie rydwan słoneczny ze wschodu na zachód, a nie odwrotnie.

– Bogowie są kapryśni i nie zawsze robią to, co ma sens, a przynajmniej nie dane jest nam go dostrzec – mówiąc to, zacząłem ostrożnie schodzić po stromym i śliskim zboczu. Ostatnie kilka metrów zjechałem na plecach.

Dopiero na dole zobaczyłem szczątki ludzkie gdzieniegdzie wystające spod kamieni. Ręka jakiegoś dzikiego, ciągle zaciśnięta na kamiennym ostrzu, wskazywała prosto w niebo, jakby oskarżając bogów o tę masakrę. A może to była prośba o pomoc? Tu i ówdzie leżały fragmenty naszego uzbrojenia; a to popękany skjold, a to rozdarty wpół skórzany półpancerz. Resztę pewnie miał przy sobie trup jakiegoś woja lub chłopca, bo ci ostatni przed rozstrzygającą bitwą zakładali na grzbiet, co popadło. Niekiedy był to skórzany napierśnik; pod koniec bronni mieliśmy więcej niżli ludzi zdolnych ją nosić, więc było w czym wybierać.

– Idę do wsi. – Pokazałem czubkiem miecza wciąż płonące zabudowania. – Chodź ze mną, przyda się druga klinga w Skaldborgu, a tutaj nic po tobie.

Orm stał nieruchomo, jakby mnie nie usłyszał. Jego jasne włosy były teraz szare od pyłu, który podnosił się z ziemi przy każdym naszym kroku. Wydawał się nieobecny, jakby dostał obuchem topora w łepetynę.

– Ormie, synu Frodiego! – Teraz niemal krzychałem, potrząsając nim niczym workiem fasoli.

Spojrzał swoim jednym okiem nieco przytomniej.

– Idę, tylko to wszystko takie, takie...

Wydawało się, że coś w nim pękło. Po nieruchomej twarzy pociekły łzy, żłobiąc w pokrywającym ją pyle kręte ścieżki. Nigdy wcześniej nie widziałem go płaczącego. Gdy było naprawdę źle, co najwyżej odchodził gdzieś na ubocze, głuchy na nawoływania kompanów, by pijąc na umór, sam na sam rozprawić się z własnymi demonami. Śmierć nie była dla nas pierwszą, ale zawsze u kresu nawet najtrudniejszej drogi czekał dom i nasi ludzie. Dopiero teraz zrozumiałem, jak wiele sił daje nadzieja, a jak śmiertelnym wrogiem jest jej brak. Tu obce były nawet zapachy, a właśnie straciliśmy towarzyszy, którzy łączyli nas z dawnym życiem. Umrzeć w walce to szybki i zaszczytny koniec i krok do Walhalli, ale przeżyć i widzieć, jak przyjaciele, jeden po drugim, opuszczają ten świat – to całkiem co innego.

– Zajmijmy się czymś – mruknąłem do niego, a może i do samego siebie.

Droga do wioski usiana była ciałami dzikich, przetykanymi zgrzebnym płótnem odzienia lub brązem skórzanego napierśnika jakiegoś wieśniaka. Skaldborg stał w płomieniach. Żar był tak potężny, że pomiędzy zabudowania nie mogliśmy jeszcze wejść, ale i bez tego wiedzieliśmy: nikt nie uszedł cało z tej ognistej pułapki, z tej kuźni Alfrigga. Na spotkanie wybiegło tylko kilka osmolonych wioskowych kundli.

– Wyciągniemy z pogorzelniska, co się da, ale jeszcze nie teraz. – Ruszyłem, omijając zabudowania szerokim łukiem, i poczłapałem w kierunku palisady.

– Co chcesz zabierać z tego stosu pogrzebowego, lepiej sami tam wskoczmy, niech ogień dokończy dzieła.

Odwróciłem głowę mimo woli, niczym kukielka wiedziona sprawną ręką lalkarza. Popatrzyłem na tego nieustępliwego i nieznającego strachu woja, jakbym go zobaczył po raz pierwszy w życiu.

– Szukajmy naszych, musimy oddać im ostatnią posługę zgodnie z tradycjami ich i naszych bogów, a potem ruszymy za góry. Odnajdziemy Jagnę, albo to co z niej zostało, tak jak obiecałem Sławojowi. Dzicy ją porwali, ale żyje i jest teraz wszystkim, co mam. Tylko ona i ty, Ormie.

Moje słowa podziały na niego niczym sucha huba rzucona w płomienie.

– Czego ty chcesz szukać na tym zapomnianym przez bogów świecie! – Kopnął drewnianą motykę, która leżała porzucona w trawie i której nikt już pewnie nie weźmie do ręki. – Jesteśmy jak to drewno, nieprzydatni i niepotrzebni nikomu. Ja tu zostaję. – W jego głosie zabrzmiały twarde nuty oznaczające, że podjął decyzję i niełatwo go będzie przekonać do zmiany planów.

– Musimy znaleźć Jagnę! – Dźwięki wydobywające się z mojej zaschniętej krtańki bardziej przypominały skrzek starej baby niżli krzyk męża. – Bez ciebie sobie nie poradzę, ale razem...

Wstrząsnął się, jakby otrzepując z kropli deszczu.

– Taa... – ni to mruknął do siebie, ni odpowiedział. – Twoja dziewczka, którą dzicy porwali, gdy jeszcze nam się wydawało, że mamy przed sobą jakąś przyszłość. Ona nie żyje, Eryku, tak jak jej matka, ojciec, bracia, jak moja Nawoja! – Znowu prawie krzyczał. – Była brzemienna... – dodał ciszej, jakby sam do siebie. – Brzemienna, a ja, ja... – Zamilkł, jakby niezdolny do dokończenia wypowiedzi.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Jagna? A jeśli tak, co to zmienia?

– Nie myślę o Sławojowej latorośli. – Rzucił mi roztargnione spojrzenie. – Nawoja, moja kobieta zarżnięta jak prosię w jaskini, nosiła pod sercem nasze dziecko.

Nic nie powiedziałem. Zresztą o czym tu gadać, czy mam go pocieszać, mówiąc, że będzie dobrze? Puste słowa, które w moich własnych uszach brzmiałyby fałszywie.

– Znajdźmy naszych i wyprawmy pochówek godny wojowników, przynajmniej to jesteśmy im winni. Poobcinamy paznokcie u rąk, wszystkim. – Uciszyłem jego odruchowe protesty machnięciem ręki. – Wiem, że Lachowie to nie ludzie północy, ale Naglfar będzie tak wielki, jak wiele paznokci śmiertelników zostanie użytych do jego budowy. Ten okręt poniesie gigantów w bój z bogami w czas Ragnaröku, więc nie powinniśmy ułatwiać im zadania.

Skinął głową. Staliśmy jeszcze chwilę bez ruchu, a ciszę przerywał tylko trzask palącego się drewna. Nawet ptaki pouciekały z doliny, która pomimo początkowej obietnicy stała się dla nas jedną wielką grobową komnatą.

Jak się okazało, nie tylko my przeżyliśmy rzeź. Nagle od strony wysokich zarośli rosnących gęsto w okolicy gorących źródeł usłyszeliśmy szelest, jakby jakieś wielkie zwierzę przedzierało się przez chaszczę. Odruchowo chwyciłem za miecz. Cichy świst żelaza wysuwającego się ze skórzanej pochwy świadczył o tym, że Orm uczynił to samo.

To byli dzicy. Zatrzymali się tuż za granicą nakreśloną naszym zimnym metalem. Chwała niech będzie bogom za wyrobione latami nawyki.

– Plecami! – krzyknąłem, ale nie musiałem nic mówić, bo w tej samej chwili już opierałem się o szerokie barki mojego druha.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

Pierwszy tom sagi Yggdrasil „Struny czasu” opowiada o zmaganiach kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV

„Jedwab i porcelana” to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce kraje rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zмага się z własnymi demonami i samym sobą. Jedwab i porcelana to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. „Biały tygrys” i „Niebieski smok” (nowe wersje) oraz „Czerwony ptak i Czarny żółw” (prapremiery).

SZABLĄ I WĄSEM

antologia opowiadań sarmackich pod redakcją **Dawida Juraszka**

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ogień i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

Szablą i wąsem to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

DO DIABŁA Z BOGIEM

antologia opowiadań fantastycznych pod redakcją **Dawida Juraszka**

Opium dla ludu w 10 odsłonach.

Do diabła z bogiem... Ale którym bogiem? Do jakiego diabła i po co? Dziesięciu autorów tej fantastycznej antologii odpowiada na dziesięć różnych sposobów – nigdy jednak na klęczkach.

Czy pisarze zajmujący się fantastyką mogą pisać o religiach? Zbiór opowiadań, który prezentujemy, dowodzi, że nie tylko mogą, ale powinni! Efekt konfrontacji wiary z rozumem, przeszłości z przyszłością, magii z fantazją może Was zaskoczyć. I prędzej czy później niektórzy z was dojdą do wniosku, że to wszystko jest... fikcją.

W zbiór wprowadza opowiadanie „Kismet”. Tam, gdzie zawodzi zdrowy rozsądek, i cuda przestają być łatwe do wyjaśnienia, o wiele łatwiej popaść w fanatyzm, i zatracić się w szalejącej wojnie. Gdy pojawiające się znikąd anioły potrafią w mgnieniu oka spopielić całą wioskę, ciężko jest pozostać przy starej wierze. Sceptycznie nastawiony żołnierz, z nieco mniej sceptycznymi podkomendnymi, zostaje wysłany, żeby zbadać te cuda. Nie wie jeszcze, iż nie będą to zmagania z kwestią wiary, którą mamy w sercu. Wręcz przeciwnie.

NIEDOCZEKANIE

antologia opowiadań fantastycznych pod redakcją **Dawida Juraszka**

Gdyby babcia miała wąsy, czyli antologia historii alternatywnych.

Co by było, gdyby było inaczej, niż jest? Historie alternatywne to doskonała pożywka dla wyobraźni i niezły sposób na odreagowanie niepowodzeń jednostek i zbiorowości. Bo przecież gdyby wtedy, dawno temu, coś potoczyło się inaczej, to dzisiaj wszyscy byliby zdrowi, bogaci i szczęśliwi. Albo i nie...

Niedoczekanie... Od alternatywy na parę, przez gwiazdnych wojowników i nieśmiertelne dynastie, po kolonializm na odwrót – antologia ośmiu historii alternatywnych z podniesionym czołem odpowiada na pytanie: co by było gdyby?

Antologię „Niedoczekanie” promuje opowiadanie „Parowy Hycel”. Kto parą wojuje, od pary ginie! Krzysztof Kochański bierze na warsztat fascynującą konwencję steampunku i brawurowo nadaje jej autorski szlif godny kunsztu weterana polskiej fantastyki. W świecie na pozór rodem z pozytywistycznych powieści wiek pary i elektryczności okazuje się być wiekiem pary, mechaniki, chemii i... zmysłowości!

BIERZ MNIE

antologia opowiadań zmysłowych pod redakcją **Dawida Juraszka**

Cielesne uciechy, gorące spojrzenia, złamane serca.

Ludzie pióra płci obojga kochają nie tylko książki, i nie z samej jedynie literatury czerpią rozkosz – są przecież przede wszystkim kobietami i mężczyznami. Autorki i autorzy niniejszej antologii spłodzili oto dziewięć śmiałych opowiadań o tym, co najbardziej ludzkie, choć często i obce, dla czytelniczek i czytelników otwartych na nowe doznania.

Przeszłość, terażniejszość i przyszłość łączą się tu z miejscami bliskimi i dalekimi, nauka i magia z intymnością i pożądaniem, a piękność z potwornością; egzotyka splata się ze swojskością, subtelność z dosadnością, a miłość z seksem.

Z tego mariażu narodził się zbiór pobudzający zmysły i podniecający wyobraźnię, ale też dający do myślenia – nie tylko w długą, bezseną noc.

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacą nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. PIERWSZE SPOTKANIE

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Kontynuacja losów młodych bohaterów w drugim tomie cyklu „Martwy chłopiec”.

Romuald Pawlak: RYCERZ BEZKONNY

Nie całkiem poważna fantazy o rycerzu, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii. A wszystko to za sprawą kupca, który przejął za długi rodzinny majątek Fillegana, zmuszając go do emigracji z rodzinnego Wake w Anglii na kontynent. Ot, dlaczego kupiec zawsze będzie wrogiem rycerza, a rycerz krzywo spoglądać będzie na bogatego kupca... chyba że sam stanie się po stokroć bogatszy.

Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się tu spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu. Jak to na fantazy przystało.

Romuald Pawlak: CZAREM I SMOKIEM

Nie ma nic gorszego niż bolesny brak profesjonalizmu. Co może zrobić mag-pogodnik, który nie umie zapanować nad aurą? Może tylko wylecieć z roboty u malarza Astrogoniusza i wplątać się w kłopoty, które zaprowadzą go najpierw na dno statku, potem wydzwigną do pałacowych kajut, by znów strącić w piekielne otchłanie. Spotkane na drodze kobiety okażą się niebezpieczne, mężczyźni zechcą zabrać życie – i tylko spotkany w kolejnym więzieniu smok będzie rozumieć naszego maga.

Sojusz pogodnika ze smokiem zostanie zawarty w następujących celach: najeść się po uszy, mieć do spania wygodne łóżko, zdobywać piękne kobiety, zemścić się na Astrogoniuszu. Aha, i na podłym karle Garzfulu, który sprawił, że Rosselin został wygnany z pałacu. Jak z powyższego opisu widać, jest to śmiertelnie poważna powieść o magii, smokach i trudach pracy zawodowej.

Agnieszka Hałas: DWIE KARTY, cykl TEATR WĘŻY, tom 1

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłan.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, „Dwie karty” otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: „Pośród cieni” oraz „W mocy wichru”.

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna

i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja leży gdzieś pośrodku.

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andremilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworyszy, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreuil nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreuil? Wykaże się odwagą i sprytem czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Kiedy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Stare legendy czasem ożywają, by zawładnąć ludzką wyobraźnią. Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści terażniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmiejcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotę, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA.

Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię CAIREN!

Dziesięć mocnych, wartkich, przebojowych opowiadań...

Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka...

Dziesięć opowieści awanturnych z epoki fantastycznie sformatowanych podbojów mongolskich, a w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, groźnych monstrów, magicznych sztuk, powabnych dziewczek, literackich nawiązań, i wiele więcej.

Marek Ścieszek: POLA ŚMIERCI

Na początku pola śmierci miały być tylko interesem, nieludzkim, bluźnierczym, ale prowadzącym do łatwego zarobku. W świecie fantasy w sprawy zwykłych ludzi lubią się jednak mieszać siły nadprzyrodzone. Przy czym nie sposób jednoznacznie stwierdzić, w którym miejscu przebiega granica porządku. Nic nie jest albo czarne, albo białe. W szarościach niknie pewność co do istoty zła. Zamęt, mroczna siła stojąca w opozycji do Natury, powołuje do życia Bestię, która dzieło ludzi postanawia kontynuować na własnych warunkach. Konflikt jest nieunikniony. Jaką rolę odegra w nim człowiek zamknięty w klatce? Po której stronie opowie się tajemniczy Zakon Rycerzy Smoka? A przede wszystkim kto w tym świecie zasługuje na miano prawdziwej bestii: dziecię Zamętu czy sam człowiek? Odpowiedzi należy szukać na bezkresnych Polach śmierci...

Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACENICY

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo stracenci.

Marek Hemrling: PILLON I SYNOWIE

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pilonem, Pilonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem „Łagodny Olbrzym” wciąż drzemał ukryty w cieniu „Dominium”...

Emma Popik: WYWIAD Z BOGIEM

Kim jest człowiek nazywany przez prosty lud bogiem? Podobno tworzy nowe byty – a to wszak robota bogów. Ale czy jest ważniejszy od wpływowego dziennikarza, który również posiada boską

moc? Może wywyższać ludzi swoimi artykułami lub strącać ich w niebyt niesławy byle pomówieniem. Spotkaniu tej dwójki poświęcone jest tytułowe opowiadanie.

Bohaterowie pozostałych, podejmując decyzje, wykonując swoją pracę, wypełniając misje lub rozkazy, mają wpływ na całe miasta, kraje, a nawet planety. Albo intymniej – odmieniają los jednego człowieka, jednej miłości...

Bogowie są jak ludzie: leniwi, skorzy do wybuchów gniewu, oczekują zapłaty i sutego poczęstunku. I czynią cuda. Ludzie są jak bogowie: wszechmocni, niosą śmierć, decydują o życiu, marzeniach i wspomnieniach innych. Lecz wciąż pozostają ludźmi – ułomnymi, popełniającymi błędy, a zarazem wspaniałymi, skłonny do poświęceń, kochającymi życie, łaknącymi ciepła drugiego człowieka. Bo wszystko można zapomnieć, prócz miłości i tęsknoty.

Opowiadania czyta się z zadumą, rozbawieniem, wzruszeniem. Emma Popik jest w doskonałej formie literackiej, co udowadnia kolejnym świetnym tomem opowiadań.

Emma Popik: NA ZAWSZE PIĘKNIE I MŁODZI

Ofiarujemy czytelnikom sprawdzoną hard sf. Prezentowane opowiadania – ostre, znaczące i niezmiennie ciekawe – ukazywały się drukiem w Fantastyce, Nowej Fantastyce, Science Fiction, Fantasy and Horror oraz w osobnych wydaniach książkowych; wśród nich „Mistrz” – uznany za jedno ze stu najlepszych polskich opowiadań. Zebraliśmy je razem i wierzymy, że tą literacką uczta zadowolimy zarówno wyrafinowanych smakoszy, jak czytelników lubiących po prostu dobrą, „męską” prozę, pełną akcji, przygód, mięsistych scen, ale niepozbawioną refleksji.

Mistrzynie Małej Apokalipsy prowadzi czytelnika do dzikich dzielnic, gdzie rządzi zdegenerowana technika, ciągnie go w podziemia kryjące gigantyczne zespoły maszyn, zamka go wraz z nimi w domu, a potem wiedzie do Terminalu, skąd zamiast do rajy obiecanej trafia do ludzkiego piekła.

Emma Popik skupia się na człowieku i jego sprawach. Choć nagi i bezbronny, oddzierany po kawałku z dumy, woli i ciała, wciąż ma marzenia i wiarę w ocalenie.

Szokujące wydarzenia, nowe światy i fascynujące pomysły – oto recepta na doskonałe opowiadania.

Emma Popik: WIGILIA SZATANA

Kolejny rewelacyjny zbiór Emmy Popik to smakowity kąsek dla pasjonatów dobrej fantastycznej prozy i mocnej hard sf, wgrzającej się w mózg i przepalającej trzewia.

Tym razem autorka wprowadza nas w świat, który zostanie zbawiony przez... Szatana. Chcesz takiej apokalipsy, takiego końca i nowego początku? Nie chcesz? A jeżeli żadna inna wyższa siła się nie kwapi? Jeżeli Opatrzność odwróciła się od świata i ludzkości?

Coś dla czytelników o stalowych nerwach. „Wigilia Szatana” to kolekcja przejmujących, mocnych opowiadań o upadku cywilizacji, słabości i błędach człowieka, o zbrodniach, które popełnia na najbliższych oraz na otaczającym go świecie. Ciebie to nie dotyczy? Więc lepiej przejrzyj się w lustro, geniuszu. Kto oddaje własne dzieci do domu dla niepełnowartościowego materiału ludzkiego? Kto kazał przyrodę „Zapakować w pudełko” i bezwzględnie ją kontroluje, tym samym uśmiercając własny gatunek? Kto pozwala wyzyskiwać się różnym cwaniakom, nazywających uczucia „Zespołem nieprzystosowania społecznego”? Kto daje się otumaniać bankierom, maszy-

nom, systemom, urzędom, kto wierzy w boga wiecznych promocji? Nie wiesz? A może po prostu nie lubisz „Kłopotliwych pytań”, podważających obowiązujące prawo i naukę.

Uspakajając własne sumienie, zapewniasz, że świat nigdy nie będzie tak wyglądał. No to rozejrzyj się wokół...